

## Ekonomia parytetów i związków partnerskich

Autor: **Mateusz Machaj**

Po ostatnich wyborach parlamentarnych w Polsce stopniowo powraca debata dotycząca związków partnerskich oraz parytetów. Niestety, zgodnie z naturą polityki cała dyskusja jest mocno zideologizowana. Do problemu można jednak podejść bardzo ekonomicznie, ponieważ umożliwia to sformułowanie pewnych



uniwersalnych obserwacji o tych i innych pomysłach. Naukowe wnioski z tych obserwacji zachowują swoją moc niezależnie od tego, jaki światopogląd wyznajemy. Właśnie w tym tkwi siła ekonomicznego rozumowania i jego przewaga nad ideologizacją rzeczywistości.

Przede wszystkim należy podkreślić, że żyjemy w systemie, który jest regulowaną gospodarką rynkową. To oznacza, że chociaż aparat przymusu ustala w dużym zakresie funkcjonowanie mechanizmów rynkowych, to jednak samo ich działanie nie podlega dyskusji. Po upadku systemów centralnego planowania większość ekonomistów akceptuje to, że rynek jest podstawową gospodarczą instytucją. Kwestią dyskusyjną pozostaje tylko, w jakim stopniu państwo powinno w ten rynek interweniować.

Rynek spełnia niezwykle ważną funkcję, jaką jest adekwatna alokacja zasobów. Opiera się na swobodzie umów i pozwala na zatrudnianie czynników produkcji tam, gdzie są najbardziej potrzebne. A zatem prawdziwie konkurencyjny rynek, skuteczny w dostarczaniu dóbr konsumentom, to rynek opierający się na dużej mobilności czynników produkcji. Mobilność czynników produkcji jest zagwarantowana wtedy, kiedy państwo nie wkracza ze swoimi niepotrzebnymi klasyfikacjami tych czynników, które utrudniałyby ich alokację i realokację.

Przykładem takiego ograniczenia jest rejestrowanie przez państwo płci obywatela zaraz po jego urodzeniu na podstawie kryteriów biologicznych. Tymczasem społeczeństwo jest zbudowane na relacjach dużo poważniejszych niż kryteria biologiczne. Co więcej, człowiek, stopniowo wrastając w społeczeństwo, wykształca całą masę charakterystyk znacząco oderwanych od jego biologiczności. Dlatego w celu zwiększenia mobilności czynników produkcji należałoby zlikwidować administracyjne określanie płci obywatela. O ile może ono mieć sens początkowo (gdy na noworodka spogląda się okiem biologa), o tyle z punktu widzenia mechanizmu rynkowego z czasem płeć powinna być określana deklaratywnie.

Innymi słowy dla mobilności czynników produkcji poważny problem stanowi to, że dzisiaj obywatel nie może pójść do urzędu i nie może zadeklarować zmiany swojej płci, tak jak zmiany adresu zamieszkania. Takiej swobody wymaga natomiast mobilność czynników. Człowiek jest przede wszystkim tworem psychicznym i społecznym, a nie czysto anatomicznym; w związku z tym całkowicie ekonomicznie nieuzasadnione jest określanie płci za pomocą swoistej decyzji administracyjnej. Jeśli rynek ma działać skutecznie, to każdy powinien móc wybrać swoją płeć — obywatelowi powinno przysługiwać prawo zadeklarowania urzędnikowi, że jest np. kobietą, mimo że zdaje się posiadać ciało męczyzny.

Obecnie informacja o zmianie płci wymaga zaangażowania mnóstwa czasu, zasobów, administracji i aparatu sądowego. Z punktu widzenia mechanizmu rynkowego to zupełne marnotrawstwo. Swobodna deklaracja dotycząca własnej płci umożliwiłaby uwolnienie rynku czynników produkcji ze sztucznych biologicznych ograniczeń. Jednocześnie znikłaby niepotrzebna administracyjna dyskryminacja tych czynników produkcji — deklaratywność płci oznacza również, że ustawowe rozróżnienie na „kobietę” i „mężczyznę” straciłoby swój pierwotny sens; zamiast niego wszędzie funkcjonowałoby skutecznie określenie „człowiek”. Prawdziwa równość i obojętność prawa na płeć zostałyby osiągnięte<sup>1</sup>. Niezależnie od tego możliwe stałoby się wreszcie wprowadzenie

---

<sup>1</sup> Nie zmienia to oczywiście faktu, że gdyby obywatel np. podpisał umowę z firmą ubezpieczeniową, ta zgodnie z zasadami pomiaru i wyceny ryzyka mogłaby klasyfikować człowieka w dowolne grupy według własnego uznania (tak aby dostarczać odpowiednio

parytetów 50/50. Co więcej, w liberalnym wariantcie deklaratywności płci, który sprzyjałby mniejszościom seksualnym, cały spór o parytety zniknąłby od razu.

Drugą kontrowersyjną sprawą są tzw. związki partnerskie, które pozwalałyby rozliczać się wspólnie różnym parom osób, ułatwiać dziedziczenie, zmniejszać opodatkowanie *etc.* Samo rozwiązanie to krok w stronę przywrócenia bardziej rynkowej alokacji zasobów, tak aby unikać obciążeń fiskalnych i parafiskalnych aparatu administracyjnego. Idea jest zgodna z duchem regulowanej gospodarki rynkowej, jeśli celem ma być sprawna alokacja prywatnie posiadanych zasobów. Pomija się tu jednak dwie rzeczy.

Po pierwsze, pod znakiem zapytania należy postawić ideę państwowych małżeństw. Z punktu widzenia dystrybucji i produkcji marnotrawstwem jest angażowanie na koszt podatników aparatu państwowego do organizowania ceremoniałów. Po to w regulowanej gospodarce rynkowej istnieją możliwości zakładania kościołów czy klubów, aby ceremonie przeprowadzać za prywatne pieniądze i w zgodzie z własnymi preferencjami. Wprowadzanie państwowych pojęć „mąż” i „żona” to kolejne przykłady niepotrzebnego nazewnictwa czegoś, co mogłoby bez problemów zniknąć z ustawodawstwa (jeśli tym nazwom przypisuje się pewne przywileje, to można je rozszerzyć na większą grupę ludzi).

Po drugie zaś, sama koncepcja „związków partnerskich” zdaje się niewolnikiem rozpowszechniania światopoglądu, który często określa się jako patriarchalny. Nadmierne wspieranie przez państwo idei monogamicznego i heteroseksualnego związku bywa krytykowane jako przejaw niepotrzebnej indoktrynacji. Jednak idea wprowadzenia „związków partnerskich” również jest nasycona wirusem monogamii oraz pewnej wersji seksualności.

Najważniejsza jest strona ekonomiczna — gospodarka skorzysta na swobodnej dystrybucji zasobów. To, czy ktoś z kimś znajduje się w stosunku seksualnym oraz czy jest to w pewnej sferze monogamiczna relacja seksualna, staje się całkowicie nieistotne. Fascynacja obecną wersją „związków partnerskich” to owoc fascynacji ideami „patriarchalnymi”. Aby alokacja zasobów była sprawna, zamiast wprowadzać „związki partnerskie”, należałoby raczej znieść małżeństwa i wprowadzić na ich miejsce „umowy stowarzyszeniowe”, do

---

wycenione polisy i zwiększać przez to ogólne korzyści dla konsumentów). Regulamin byłby tutaj określony zasadą swobody umów.

których mogłaby przystępować dowolna liczba ludzi, dowolnej płci (która mogłaby być swobodnie zmieniana).

Z punktu widzenia ekonomii (a ideologii szczególnie) niezrozumiałe jest wprowadzanie przywilejów dla dwóch osób homoseksualnych, a ograniczanie przywilejów „kobiet” pragnących mieć kilku „mężów” i kilka „żon” albo ograniczanie przywilejów „mężczyzn”, którzy chcą mieć kilka „żon” lub kilku „mężów”. W dodatku jest całkowicie niezrozumiałe, jakie znaczenie dla kwestii majątkowych ma ewentualne seksualne współżycie tych ludzi. Dlaczego wspólnie nie mogą się rozliczać rodzeństwa, rodziny, sąsiedzi albo koledzy z pracy? Dlaczego, jeśli mają się rozliczać, muszą się grupować w dwójki i to w dodatku w dwójki, które ze sobą sypiają? Czyż nie jest to skutek nadmiernej fascynacji zasadami tradycyjnego małżeństwa, do którego chce się wprowadzić międzypłciową substytucję?

Podsumowując: poprawna alokacja kapitału i pracy wymaga swobodnej, nieograniczonej niepotrzebną administracją możliwości przenoszenia zasobów. Mogłoby to zostać osiągnięte za pomocą wprowadzenia deklaratywności płci (przed wprowadzeniem parytetów), a także dzięki zniesieniu małżeństwa i wprowadzeniu „umów stowarzyszeniowych” możliwych do zawarcia między dowolną liczbą ludzi.

Gdzie leży problem? W tym, że „umowy stowarzyszeniowe” mogą rodzić pewne kłopoty fiskalne? Zatem teraz rozmawiamy o kwestiach ekonomicznych, a nie ideologicznych? No cóż — najwyższa pora.